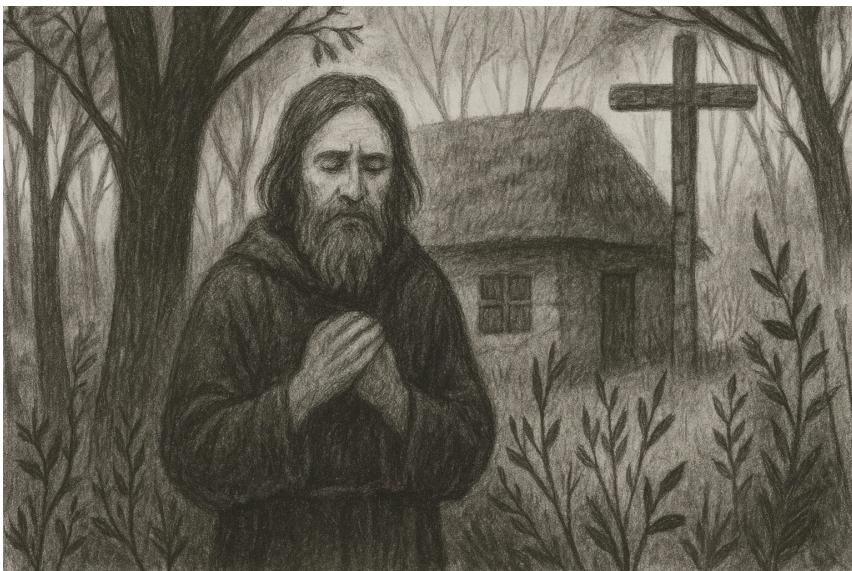


O Babie Jędzy i Pustelniku



W przyklejonej do stoku góry osadzie górniczej wszyscy wiedzieli, by nie wchodzić na górę Zmorową. Sama jej nazwa miała już odstraszać każdego, ale czasem to nie wystarczało i trzeba było posłuchać opowieści o tym, co za dziwy można tam spotkać. Najlepiej było o tym posłuchać na targowisku. Kiedy chłopcy schodzili pod ziemię, by wydobywać złoto dla bogatego pana, baby puszczały dzieci samopas i szły na targ. Bardziej, by gadać, niż handlować, ale czasami udało się coś w dobrej cenie kupić, a w jeszcze lepszej sprzedać.

Dzieci mogły chodzić, gdzie chciały, jedynie góra, która rzucała cień na miasto, była zakazanym miejscem do zabaw. Ciężko było utrzymać dzieci z dala od Zmorowej, bo codziennie na gałęziach pojawiały się nowe smakołyki, a zrywając je i idąc za nimi w głąb lasu, docierało się na sam szczyt Zmorowej. Tam czekała już Baba Jędz. Kościasta starucha, z jedną nogą drewnianą, prawie ślepa, ale zła do szpiku kości. Łapała każdego, kto zapuścił się w jej gęste knieje, i zjadała go, bo żywiła się tylko ludźmi. Mówiono, że mieszkała w domku na kurzej nóżce. Mówiono, że jak kto spojrzy w jej pokryte bielmem oczy, to traci rozum. Że wszystkie czarne

ptaki złążą się do niej w bezksiężycową noc i drą się głośno, a ona tańczy do ich dzikich dźwięków koślavo.

Różnych sztuczek próbowali mieszkańcy osady, by się jej pozbyć. Atakowali ogniem i widłami, lecz starucha zawsze umiała zniknąć w gęstym lesie. Mówiono nawet, że zamienia się w czarnego ptaka i odlatuje na wyższe gałęzie drzew, by przeczekać atak. Wiele dzieci zginęło przez lata we wsi. Czasami nawet dorośli. Nie było mocy na Babę Jędzę.

Poza tym w miasteczku żyło się dobrze, każdy miał pracę i każdy był potrzebny. Był szewc, co szył buty i skórzane ochraniacze na kolana dla kłęczących całymi dniami w pracy górników. Byli rolnicy, co uprawiali pszenicę, młynarz, co robił z niej mąkę, i piekarz, co z tej mąki piekł chleb. Wszyscy się tu znali i czuli ze sobą dobrze. Ale rzadko kto podnosił oczy, by nie spojrzeć przypadkiem w stronę szczytu góry. Choć mieszkańcy osady byli dobrymi ludźmi, strach zawsze gościł w ich sercach.

Pewnego dnia na targowisku było wielkie poruszenie. Do wsi wprowadził się obcy. Zakapturzony mężczyzna z brodą, w podartych i brudnych szatach. Wynajął pokój nad sklepem mięsnym, zapłacił z góry za siedem dni, więc nie było powodu, by go wyganiać. Nie spodobał się jednak mieszkańcom. Nie potrzebowali tu obcych. Gdy szedł ulicą, schodzili mu z drogi, odwracali oczy tak szybko, że nawet nie widzieli, iż obcy kłania się każdemu z uśmiechem.

– Podobno to bandyta. Chowa się pod kapturem, bo twarz ma znaną w świecie zbójckim.

– A ja myślę, że to czarownik. Będzie z Babą Jędzą do pary dzieci nam porywał!

– A może szaleniec?

– Może to demon jaki. Kto normalny w łachmanach chodzi, a złotem płaci? Nikt! Ja wam mówię, że źle mu z oczu patrzy.

Człowiek ten zdawał się nie przejmować wrogością mieszkańców. Odwiedzał ich sklepy, warsztaty i pracownie. Kupował drewno, proste meble, ubrania ciepłe, jakby na zimę się szykował. Trochę garnków, trochę narzędzi, jakby dom miał budować.

I któregoś dnia wynajął wóz, zapakował wszystko i ku uciechu całego miasteczka wyjechał. Wóz obiecał oddać po dwóch dniach, ale zapytany, czy wróci do miasteczka, pokręcił przecząco głową. Rzeczywiście, dwa dni później koń przyprowadził wóz prosto pod bramę właściciela, ale woźnicy nie było. Wszyscy wstrzymali oddech, a potem całe miasto zaczęło plotkować, że jednak to był demon, bo kto inny tak konia oddaje, bez woźnicy, a jak to możliwe, że koń wraca pod swoją bramę? Czary.

Szybko jednak o tych czarach zapomniano i o zakapturzonym brodaczu też mało kto pamiętał, bo nowe nieszczęście na miasteczko spadło. Kolejne dziecko zaginęło. Syn burmistrza nie wrócił na obiad, a jak zaczęli go po miasteczku szukać, to nie znaleźli go nigdzie. Burmistrzowa płakała straszliwie, siedząc na ławce pod domem, ojciec chodził wzburzony, szukając śmiałków, którzy pójdą na szczyt i odbiją dziecko z rąk wiedźmy.

Nagle we wsi usłyszano krzyk dziecka. Burmistrzowego dziecka. Ale nie był to krzyk tragiczny, nie krzyk pełen płaczu i trwogi. Był to krzyk radosny, przepełniony śmiechem, jak tylko dziecko potrafi się śmiać.

– Mamo! Tato! – krzyczał chłopiec. – Musicie to zobaczyć! Musicie iść ze mną! Koniecznie!

Złapał zdziwioną matkę za rękę i zaczął ciągnąć przed siebie, a ona śmiała się w głos, nie mając nawet czasu otrzeć łez zastygających na policzkach. Całe miasteczko zbiegło się pod dom burmistrza, a chłopiec ciągnął już matkę ulicami w kierunku góry Zmorowej, więc i mieszkańcy miasta szli za nimi. Ominęli ostatni dom w osadzie i szli dalej, pod górę, stromo. Coraz wolniej, bo pełni trwogi.

– Może to jakaś nowa sztuczka Baby Jędzy? Może opętała chłopaka, żeby przyprowadził jej wszystkich mieszkańców?

Ale chłopiec śmiał się tak radośnie i wołał:

– Zobaczcie! Musicie to zobaczyć! – że w końcu wszyscy zdecydowali się iść za nim. Na szczycie góry wszyscy mieszkańcy, i mali, i duzi, i mężczyźni, i kobiety, stanęli jak wryci. Nawet Burek, który biegł za nimi, ujadając okropnie całą drogę, teraz zamilkł.

Na końcu udeptanej drogi stał krzyż. Drewniany, wysoki, smukły. Za nim maleńka chatka drewniana, z ziołami na parapetach, z trawą na dachu. Z

pewnością bez kurzej nogi. A przed chatką stał, znany już mieszkańcom, uśmiechnięty brodacze w kapturze.

– Bóg z wami – powiedział, kiwając głową.

Mieszkańcy milczeli jak osłupiali.

– Jestem Elizeusz, przynoszę wam pokój... Jestem pustelnikiem i Bóg wskazał mi waszą górę na miejsce mojego domu. Od teraz będzie to Góra Świętej Anny, gdyż to święta Anna jest moją patronką.

Mieszkańcy niewiele zrozumieli z tego wyводу. Nie znali oni jeszcze religii chrześcijańskiej, znali tylko swoje słowiańskie wierzenia.

– A coście z Babą Jędzą zrobili? – zapytał ktoś nieśmiało.

– Odeszła na zawsze. Ustąpiła przed majestatem Boga – powiedział brodacze Elizeusz, nadal się uśmiechając.

– Nie wróci? – zapytał ktoś inny.

– Nie, jeśli będziecie dobro czynić, jeśli myślami nie zgrzeszycie i jeśli każdej niedzieli przyjdziecie do mnie słuchać i uczyć się o prawdziwym Bogu.

Mieszkańcy zgodzili się chętnie, bo żeby Jędza nie wróciła, to wiele by dali, a jedna godzina w niedzielę to niewielkie wyrzeczenie. Z czasem przywykli i do brodacza, i do nowej religii, i do nowej nazwy góry.

Po wielu latach powstała w tym miejscu kaplica św. Anny, a pustelnicy mieszkali tam przez wszystkie wieki. Teraz miejsce to czeka na swojego pustelnika.

Mieszkańcy pozostają religijni, a Baba Jędza nigdy tu nie powróciła.